Nr. 5. 1933 R. XXIX.

GŁOS DZIEWCZĄT POLSKICH

DWUMIESIĘCZNIK

PRENUMERATA WYNOSI:
Rocznie (z przesyłką) 1.50 zł.

KONTO CZEKOWE
P. K. O. Nr. 409.020

POJEDYNCZY NUMER:
20 GR.

Adres Redakcji i Administracji: „GŁOS DZIEWCZĄT POLSKICH"
Kraków, ulica Mikołajska L. 30. Telefon Nr. 132-39.

WRZESIEŃ—PAŹDZIERNIK 1933.

KALENDARZYK PANIEŃSKI:

Na Wrzesień:

1 Anny prorokini — Werenny p.
2 N. P. Pocieszenia
3 Erazmy i Bazylissy
4 Rozalji p.
5 Obdulji p.
8 Narodzenie N. P. M.
10 Pulcherji p.
11 Teodory pokutnicy
12 Najśw. Imienia Marji
13 N. P. M. Ucieczki grzeszn.
14 Podwyższenie Krzyża św.
15 Siedmiu Boleści N. P. M.
17 Agatoklji p. służebnej
20 Zuzanny p.
22 Dygny i Emeryty p.
23 Tekli p.
24 N. P. M. od Wykupu niewolników
26 Justyny p.
28 Eustochji p.
30 Zofji i jej córek Wiary, Nadziei i Miłości

Na Październik:

1 Maksymy i Julji sióstr
2 SS. Aniołów Stróżów
3 Teresy od Dziec. Jezus
7 N. P. Różańcowej
8 Brygitty wdowy
9 Publji ksieni
11 Macierzyństwa N. P. M.
12 Domniny męczen.
15 Jadwigi i Teresy
16 Czystości N. P. M.
17 Małgorzaty Marji Alacoque
19 Pelagji p.
20 Marty i Sauli p.
21 Urszuli z Towarzyszkami
22 Korduli p., Marji Salome
27 Erotejdy p. służebnej
28 Cyrylli i Anastazji
29 Euzebji p.
30 Eutropji męcz.
31 Wigilja do WW. Świętych (post ścisły)

Przynajmniej raz w roku, to znaczy w niedzielę 22 października

W ŚWIĘTO MISYJNE

pomódl się o rozkwit Kościoła katolickiego w krajach pogańskich

— i daj parę groszy na budowę i utrzymanie misyjnych —

Ochronek i sierocińców

Szkół i warsztatów

Przytulisk i szpitali

Seminarjów i kościołów.

Jałmużna na ten cel złożona, nikogo nie zuboży, nawet w dzisiejszych dniach, bezwątpienia bardzo trudnych.

Prosi Cię o to NAMIESTNIK CHRYSTUSA, który to święto ustanowił. Domaga się tego sam CHRYSTUS PAN, który po to przyszedł na ziemię, ażeby wszyscy ludzie na całej ziemi poznali Jego naukę i żyli promieniami Jego łaski.

Pamiętaj, że gdy nie pomożesz Chrystusowi Panu do zapanowania nad światem, owładnie nim tyranja bolszewicka — królestwo szatana.

Chwila dzisiejsza jest zbyt poważna; ani na moment nie wolno się wahać. Trzeba bez zwłoki i całkowicie wykonać rozkaz Namiestnika Chrystusowego.

Wspomóż przeto Misje!

Komunikaty

(dla Krakowskiego Stowarzyszenia św. Zyty).

WRZESIEŃ: 1-go września: Pierwszy piątek miesiąca — całodzienna adoracja Przenajświętszego Sakramentu w kościele św. Barbary.
3-go — Niedziela: — O godzinie 4-tej popołudniu zmiana tajemnic Apost. Modl.
8-go — Doroczna uroczystość Cudownej Najśw. Matki B. Jurowickiej, czczonej w kościele świętej Barbary.
9-go — O godzinie 5½ rano. Nabożeństwo Sodalicyjne.
20-go, 22-go i 23-go — Suche dni — post ścisły.
24-go — Niedziela: Walne zebranie w sali Sodalicyjnej przy kościele św. Barbary
30-go — O godz. 5½ rano: Kwartalne nabożeństwo Stowarzyszenia św. Zyty, połączone z odpustem zupełnym dla członkiń Stowarzyszenia.

PAŹDZIERNIK: 1-go — Niedziela: Początek nabożeństwa Różańcowego, które przez cały miesiąc odprawiać się będzie w kościele św. Barbary w dni powszednie o godzinie 6-tej wieczorem, a w niedziele o godz. 5-tej popoł.
1-go: — Z powodu dorocznej procesji Różańcowej z kościoła OO. Dominikanów zmiana tajemnic Apostolstwa Modlitwy odbędzie się w drugą niedzielę października, t. j. 8-go października.
6-go — Pierwszy piątek miesiąca: Całodzienna adoracja Przenajświętszego Sakramentu w kościele św. Barbary.
14-go — sobota: O godzinie 5½ Nabożeństwo Sodalicyjne.
22-go — Niedziela modłów i jałmużn dla Misyj Katolickich.
29-go — Niedziela: Uroczystość Chrystusa **Króla**, która w tym roku na życzenie Ojca świętego ma być obchodzoną ze szczególniejszą uroczystością. Porządek uroczystości i pochodu będzie osobno ogłoszony plakatami.

Nr. 5. Wrzesień—Październik. 1933.

GŁOS DZIEWCZĄT POLSKICH

DWUMIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM STOW. ŚW. ZYTY.

Dlaczego się nie modlisz?

We wszytkich tegorocznych numerach „Głosu Dziewcząt Polskich", pisaliśmy o modlitwie. — Jestem stworzeniem Boskiem więc: modlitwa jest moim obowiązkiem. — Jestem mizerną mieszkanką ziemi, więc: modlitwa, to dla mnie zaszczyt. — Jestem słabą, a stworzoną do walki, więc: modlitwa jest źródłem mojej mocy. Tak, wszystko to jasno nam przedstawiono...

Ale błysła piszącemu myśl ciekawa — zapytać, czy po przeczytaniu podanych artykułów, nasze czytelniczki więcej się modlą, aniżeli przed tem? Czy teraz więcej modłów doszło do Ciebie, Panie i Boże nasz? Czy te, które się modliły dawniej, modlą się teraz?...

A Pan dał znak aniołowi, który pilnuje „Księgi żywota", tej wielkiej księgi, w której jest zapisane każde nasze słowo, wszystkie czyny, pragnienia i modlitwy... I anioł otworzył przedenmą tę księgę... i bardzo się zasmuciłem. Niektóre czytały nawoływania do modlitwy nawet ze skupieniem, a jednak w rzeczywistości jest słaby z tego skutek i niewiele przybyło im prawdziwego ukochania modlitwy.

A może nie jest tak źle! Może jednak czytelniczki nasze więcej się modlą po odczytaniu zachęty do modlitwy?... Może!... A może się nie modlą?! Możeby potrzeba jeszcze usunąć wiele trudności, wymówek, uprzedzeń zanim pozyskane będą dla modlitwy!... Dzisiejszy artykulik poświęcimy na to, abyście pokochały modlitwę. Wspomnieliśmy w poprzednich artykułach, że kto się nie modli, ten grzeszy przeciwko pierwszemu przykazaniu. Jednak faktem jest, że większość dzisiejszych ludzi — a nawet część katolików! — mało, albo wcale się nie modli. Wcale!

Dziś postawimy pytanie: Siostro, dlaczego się nie modlisz? — i odpowiemy, dla czego dzisiaj ludzie się nie modlą.

Dla czego się nie modlą? Najczęstszem usprawiedliwieniem są słowa: Nie mam czasu się modlić! Nie jestem bezbożnicą, nie „z zasady" się nie modlę; jeśli idę do kościoła, to wstąpię na chwilę... Ale żeby codziennie rano i wieczór punktualnie odmawiać pacierz, to jest niemożliwe przy moich ciężkich życiowych zajęciach.

„Nie mam czasu się modlić" — słyszy człowiek na każdym kroku usprawiedliwienie, co tyle znaczy, jakby ktoś powiedział: Nie mam czasu, żeby mieć duszę...

Niestety przyznać trzeba, że w szalonym pędzie życia nowoczesnego, tego rodzaju wykręt u wielu ludzi nie jest tylko pustym frazesem, ale często smutną rzeczywistością. Przygniata nas życie nowoczesne! Fabryki!

Maszyny! Wynalazki! Chełpi się świat ze zdobyczy postępu nowoczesnego, to też zawładnął nami jego duch; teraz trzyma nas i niemożemy się go pozbyć.

Ruch życia nowoczesnego... Wiecie ile samochodów kursuje po ulicach, n. p. Warszawy? Niewiele — może parę set. A wiecie, ile kursuje w Nowym Jorku? Dwanaście tysięcy! Ile aut snuje się w Ameryce? Dwadzieścia miljonów! To dopiero ruch! Słyszymy ze wszystkich stron huk życia nowoczesnego, pęd szalony! Widzimy dziś na rogach ulic tablice z napisami: „Tu szybkością większą niż 6 kilometrów nie wolno jechać!" — Ale słyszy się, że ruch w przyszłości będzie domagał się napisów tego rodzaju: „Tu nie wolno jechać z mniejszą szybkością, aniżeli 30 kilometrów na godzinę". Zawrotny ruch naprzód!

Ile pięter miał dotychczas największy dom? Pięćdziesiąt ośm pięter. Ale niedawno czytaliśmy, że w Nowym Jorku wybudowano dom na sto dziesięć pięter! — Postęp ogromny!

Naprzód? Nie! Stańmy na chwilę i zastanówmy się. Czy potrzebny nam ten szalony ruch? Naco się nam on przyda? Owszem, potrzebna jest maszyna do pomocy człowiekowi, żeby go uwolniła od nadmiernego wysiłku muszkułów, ale biada człowiekowi, jeśli maszyna nad nim zapanuje!... Kiedy pędzi bezustannie i niepozwala, by się zatrzymać choć na pięciominutową przerwę, by się pomodlić, by chociaż przez kilka chwil odczuć, że się jest człowiekiem.

Szalone tempo techniki! — Jesteśmy z niego dumni! Ale czy odpowiada nam ono na najgłówniejsze wieczne zagadnienie życia? Stary uczony Arystoteles jeszcze nieznał techniki badania ciśnienia krwi — my już znamy. Znamy, ale czy jesteśmy szczęśliwi? Sławny malarz Rafael nie znał sztuki tak dokładnego rysunku, jaki daje nam za parę sekund aparat fotograficzny — ale czy jesteśmy szczęśliwi? Czy potrafimy dać odpowiedź na ostatnie pytania, na najgłówniejsze i właściwe jedynie doniosłe zagadnienie: skąd przyszedłeś, dokąd dążysz? Nie potrafimy! Czy te pytania nie zostały i nadal pierwszorzędnemi zagadnieniami? Czy te pytania będą aktualne i wówczas kiedy technika postąpi jeszcze bardziej naprzód, kiedy człowiek będzie spoglądał na dzisiejsze czasy, jak dzisiaj patrzy z kajuty samolotu na pocztowy dyliżans z ubiegłego stulecia? Jesteśmy święcie przekonani, że dziś, i wtedy, i zawsze tylko człowiek religijny potrafi dać odpowiedź na doniosłe zagadnienie naszego bytu!

Powie niejeden: „Niemam czasu się modlić, bo dniem i nocą muszę pracować na życie"!... Otóż, patrz, powiem takiemu: Pewien wielki okręt w czasie strasznej burzy wyruszył na morze. Jak każdemu okrętowi, towarzyszyło mu stado ptaków morskich mew. Chociaż całą parą puścił się po wzburzonych falach, jednak bardzo dawał mu się we znaki przeciwny wiatr, i pomimo, że pracowały wszystkie motory, okręt posuwał się bardzo powoli. „Biedne, małe mewy — mówił tonem współczucia jeden z podróżnych. — Nasze motory pracują setkami, a nawet tysiącami parowych koni, a posuwamy się ledwo naprzód w tej nawałnicy. A czego wy szukacie, unosząc się na wiotkich skrzydełkach, wy ptaki drobne i bezbronne!?" — Ale nagle zatrzymał się człowiek pełen zdziwienia.

bo mewy odważnie natężyły swoje dane od Boga skrzydła i poleciały z pędem szalejącej wichury, gdy człowiek, zdany tylko na pracę i wysiłek motorów maszynowych, z trudem posuwał się naprzód. Mewy natomiast z łatwością wyprzedziły walczący z falami okręt, bo ich słabym siłom dane były stosownie zbudowane skrzydła...

Statek, drogie Siostry, to człowiek, który ufa jedynie swym siłom, a dwa skrzydła mewy, to dłonie złożone do modlitwy.

Powiedz, czy jeszcze i teraz uważasz za stracony czas, który poświęcasz modlitwie? Czy i teraz jeszcze powiesz, że nie masz czasu się modlić?

W następnym numerze przypatrzymy się innej grupie ludzi, którzy się niemodlą, którzy bojkotują modlitwę, a zobaczymy jeszcze smutniejszy widok.

Rocznica oswobodzenia Wiednia.

1683 — 1933.

Dnia 12 września, bieżącego roku upływa 250 lat od sławnej bitwy z Turkami pod Wiedniem, w której wojska chrześcijańskie walczyły pod wodzą króla Jana Sobieskiego. Nawała turecka zagarnęła już była dzisiejszą Grecję, Bulgarję, Albanję znaczną część Jugosławji, t. j. Serbję, Bośnię, Rumunję i część Węgier — rozbita u granic Polski pod Kamieńcem i Chocimem, pobita przez króla Jana III. Sobieskiego, odpłynęła od granic Polski, ale przez ziemie Węgierskie, wkroczyła w granice cesarstwa niemieckiego, zwanego rzymskiem. W roku 1683 oblegli Wiedeń. 130 tysięcy wojska tureckiego rozłożyło się pod Wiedniem. Cesarz Leopold widząc, że niepodoła armji tureckiej, oblegającej stolicę, uciekł. Oblężony Wiedeń wzywał ratunku, ale niebyło komu pospieszyć mu z pomocą. Niemcy udali się z prośbą do Rzymu do Ojca św. Innocentego XI., aby ten ich ratował. Ojciec św. widząc, że tu nie chodzi już o Niemcy, ale wogóle o chrześcijaństwo, zaprosił naród, który skutecznie dotąd bronił Krzyża — naród polski. — Król Sobieski choć zmęczony z całem wojskiem usłuchał wezwania Ojca św. i zebrawszy 26 tysięcy wojska ruszył ufny w pomoc Krzyża pod Wiedeń, a przybywszy tam 12-go września uderzył na olbrzymią armję turecką i rozniósł ją doszczętnie. O zwycięstwie swem król polski zawiadomił Ojca świętego w sposób, który zasługuje na podkreślenie, świadczy bowiem o głębokiej wierze Sobieskiego i, mimo wielu odniesionych zwycięstw, o jego pokorze. W piśmie swem do Ojca świętego pisze: — „przyszedłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył". — Jaka wiara i jaka pokora!...

Polacy stracili w tej bitwie około 1.200 ludzi, więc krwawo okupili zwycięstwo. Zaledwie się bitwa skończyła książęta niemieccy zaczęli składać Sobieskiemu należne mu hołdy i powinszowania. Król polski przyjmował je bez zarozumiałości w odróżnieniu od wielu innych wodzów przed nim i po nim. A miałby się czem chełpić, bo zwycięstwo wiedeńskie było jednem z najświetniejszych i największych w historji

Europy. Ale Jan III. był rycerzem chrześcijańskim i swe zwycięstwo przypisywał Panu Bogu.

Czy Niemcy byli wdzięczni Polakom za wybawienie ich od niewoli tureckiej? Warto o tem dowiedzieć się z listu samego króla polskiego. Oto dokładne streszczenie:

Dopiero w dwa dni po zwycięstwie, cesarz Leopold zdecydował się na widzenie się z królem polskim. Król niespodziewając się już widzieć z cesarzem, posłał cesarzowi na pamiątkę zdobytą chorągiew wielkiego Wezyra. Chorągiew tę ukradziono chorążemu Jaskólskiemu pod murami Wiednia. Posłów królewskich nawet do miasta nie zaproszono, tak, że musieli pod murami nocować. Sam król cztery noce spędził pod namiotem, nie zaproszony do miasta.

Niemcy w sprawie widzenia się z królem zwlekali, wyszukiwali różne pozorne przeszkody, kręcili i, jak sam Sobieski pisze: „drwili i koło płota chodzili“; w rzeczywistości chodziło o to, aby król polski podczas widzenia się z ich cesarzem, nie zajął należnego mu poczestnego miejsca. Gdy jednak wypadało, aby cesarz spotkał się z królem naszym, ten zaproponował im, że najlepiej będzie, jeśli Polacy ruszą z pod Wiednia, a cesarz na te chwilę nadjedzie i w ten sposób monarchowie się spotkają na koniach. Tak się też stało. Cesarz, przybywszy, przywitał się z królem Sobieskim dość przyzwoicie, ale gdy mu przedstawiono królewicza, nawet ręki nie podniósł do kapelusza. Tak samo postąpił z senatorami i hetmanami polskiemi. Wobec tego król polski zawrócił konia i odjechał.

„Po tem widzeniu się — pisze król — tak wszystko się odmieniło, jakby nas nigdy nie znano“. Niemcy nie dawali żywności dla ludzi i koni, mimo, że Ojciec święty przysłał na to pieniądze. Chorych i rannych Polaków zostawiono na gnoju, a rannych było bardzo dużo. Król nie mógł doprosić się jednej szkuty (łodzi), aby Dunajem rannych odesłać do Preszburga i tam własnym kosztem ich leczyć. W mieście samemu królowi nie chciano pokazać nawet gospody, w której możnaby złożyć chorych. Do tego stopnia Niemcy Polakom wszystkiego odmawiali, że od głodu i utraty wszystkich koni ratowały obrońców Wiednia tylko „obroki“ znalezione w zdobytym obozie tureckim.

Niejedno będzie trzeba wytłumaczyć i usprawiedliwić naprężeniem chwili i ogromnem nagromadzeniem się ludzi pod Wiedniem, ale mimo to pozostaje prawdą, że należało Niemcom inaczej postępować i przedewszystkiem okazać dużo serca i wdzięczności wobec króla i rycerskiego naszego żołnierza, by choć w odrobinie spłacić ten olbrzymi dług wdzięczności za oswobodzenie Wiednia.

Cesarz niemiecki zdezerterował, król polski nie uląkł się i zwyciężył.

Cała Polska gotuje się do uroczystego obchodu rocznicy opisanej bitwy, w której praojcowie nasi wzięli liczny udział. Urządza uroczystości także sam Wiedeń, zaprasza na nie nawet Polaków, ale nie mamy się tam co spieszyć, bo pisarze niemieccy i dziś jeszcze zaprzeczają zasług Polski i Sobieskiego.

Program wiedeńskiego Komitetu obchodu 250-lecia wiekopomnej odsieczy Wiednia przez króla Jana III. Sobieskiego i zwycięstwa druzgocącego raz na zawsze groźbę muzułmańskiego podboju chrześcijańskiej Europy — przewiduje wbrew prawdzie historycznej wysunięcie na pierwszy plan uroczystości jubileuszowych osób, które wcale udziału w walkach wiedeńskich nie brały, albo też odegrały w tem wiekopomnem wydarzeniu tylko drugorzędną rolę.

Pamiątki po Polakach są opuszczone i zapomniane przez wiedeńczyków. Dawny kościół na Kahlenbergu wraz z historyczną kaplicą w nim, gdzie Jan III. rankiem 12-go września 1683 służył do Mszy św. przed zwycięską bitwą — znajduje się obecnie pod opieką polskich XX. Zmartwychwstańców. Nie cieszy się atoli opieką ze strony wiedeńczyków, ani też rządu austrjackiego. Odnowienie kaplicy przed dwoma laty nastąpiło głównie staraniem polskiem.

Pamiątkowy kamień na miejscu spotkania się króla Sobieskiego z cesarzem Leopoldem — znajduje się w zupełnem zapomnieniu. Nie wspomina też o nim żaden przewodnik po Wiedniu.

Na przedmieściach wiedeńskich w Nussdorfie, Heiligenstadt, na Kobenzlu — tak ważnych etapach bitewnych — jak również i w Tulln, gdzie nastąpiło objęcie dowództwa naczelnego przez króla Jana III. wszystkich wojsk — napróżno też szukaliśmy jakiegokolwiek dowodu wdzięcznej pamięci dla Wielkiego Oswobodziciela . . .

Może w tym roku 250-lecia tego zwycięstwa — przynajmniej z naszej polskiej strony przyjdzie naprawa krzywdy, jaką imieniu Wielkiego Zwycięzcy i pamięci jego bohaterskich rycerzy, z których tylu padło pod Wiedniem wyrządziła niewdzięczność wiedeńczyków.

Należałoby się domagać, żeby na owych historycznych etapach wiekopomnej bitwy wiedeńskiej pojawiły się jakieś widome dla potomności znaki pamięci.

Obrazki misyjne.

XXI.

Na samej granicy bolszewickiej w Ostrogu misje dajemy. Zdawałoby się, że tu nie ujrzę już znajomych z naszych krakowskich stron. Zadziwią się czytelnicy „Głosu Dziewczat“ z Krakowa. Jednego dnia wracam z kościoła po nauce, a podchodzi do mnie jakaś służąca, wita się i powiada: „ja dawna Zytka, byłam 7 lat w Krakowie, znam św. Barbarę, bo to nasz kościółek ukochany znam Ojca Kuratora . . .“ „A co tu dziecko robisz?“ — pytam. — „Chciałam się dostać do swoich, którzy są w bolszewji, ale nie mogę, więc tu zostałam, choruję i posługuję co mogę w szpitalu i za to mam utrzymanie“. Wyciąga z kieszeni ostatni grosz i chce mi dać jako ofiarę. „To tylko ofiarne służące potrafią“ — pomyślałem w duszy. Kazałem jej ten grosz schować dla siebie, a Pan Jezus i tak jej ofiarne serce przyjmie. Apostołowała

w czasie misji w szpitalu, powtarzała im nauki misyjne, zachęcała obojętnych w wierze do brania udziału w misji, a dla jej tułaczego, sierocego serca były te misje największą ucztą duchową!

Przeżywaliśmy na tej misji wspomnienia dawnych Ojców naszych, którzy tu w Ostrogu mieli największy i najwspanialszy dom jezuicki. Dziś śladu niema ani z domu, ani z kościoła, pozostał tylko wspaniały krzyż, łaskami słynący, umieszczony obecnie w kościele parafjalnym w wielkim ołtarzu. Wpatrywali się w ten słodki wizerunek Chrystusa rozpiętego na krzyżu dawni Ojcowie, dawni rodacy, dziś resztka katolików klęczy przed tym milczącym, a dużo mówiącym krzyżem i żebrze, by w tym „Roku Świętym“ rany Chrystusa, męka Chrystusa, nauka Boska i przykazania wyryły się głęboko w sercach wiernych, nawróciły zbłąkanych do tej jedynej krynicy dobra, do Serca Bożego!

Oby promienie miłosierdzia Bożego przemieniły bolszewickie dusze, które depczą tak strasznie Boskie i ludzkie prawa! Niedziela była, a w bolszewji w polu orali, siali, pracowali jak w dzień powszedni, bolszewik z karabinem pilnował ludzi pracujących na granicy. Podchodzimy z ochronki pod druty kolczaste potrójne, graniczne. Między drutami jest tak zwane: „pole śmierci“, bo ktoby tam się przedarł, a zoczył go bolszewicki strażnik, kula go czeka.

Zakonnica opowiada, że zeszłego roku w jesieni, kiedy kopały kobiety ziemniaki zagranicą, pytała ich: „ładne macie ziemniaki“, nic nie odpowiedziały, tylko pokazały, bo im nie wolno rozmawiać, nawet oglądać się w stronę Polski, byłoby to uważane za zdradę! Taki straszny jest ten raj bolszewicki zachwalany przez agitatorów komunistycznych. Pytały się nas zakonnice, co mają zrobić ze świnią, która 3 razy uciekła z bolszewji do ich sierocińca, dwa razy ją już wygnały zagranicę, a ona trzeci raz wróciła. Powiadam: „zostawcie, dla sierót się przyda waszych, kiedy nie chce bolszewików karmić“. Okropny to musi być kraj, z którego uciekają nietylko ludzie, ale i zwierzęta! Widok tej nędzy materjalnej i moralnej tuż zagranicą zachęcał nas do pracy żarliwszej na ambonie, w konfesjonale, by ratować dusze katolickie, które tu strażują na granicy, stykają się prawie z duchem antychrysta, by się nie zaraziły bolszewickimi zasadami. Nie opuściliśmy nikogo; ani więźniów, ani chorych po domach, niosąc im Chrystusa - lekarza Boskiego.

W jednym domu leżał chłopak, zaniedbany, opuszczony na barłogu. Dogorywł na suchoty. Zastałem tylko matkę w pokoju. Pytam: „gdzie siostra 18-letnia?“, wiedziałem, że zagorzała sztundystka - sekciarka. „Wyszła w pole“ — mówi matka. — „To tak! — kiedy brat jej kończy życie, Pan Jezus przychodzi go nakarmić, pocieszyć w uroczystej chwili, to siostra ucieka. Ofiaruj bracie — zwracam się do chorego — tę zniewagę Pana Jezusa i tę krzywdę ci wyrządzoną przez siostrę i tę chorobę twoją o jej nawrócenie, by od niej Pan Jezus nie uciekł w chwili śmierci“. Rozpłakał się chory młodzieniec i tem serdeczniej wyspowiadał, tem goręcej przyjął Pana Jezusa — jako wiatyk, tem szczerzej się modlił, polecając swoją duszę Bogu i nawrócenie siostry. Otrzymałem wiadomość miłą na następnej placówce, że ten chłopiec wkrótce umarł pięknie i prosił przed śmiercią siostrę, by się nawróciła; po pogrzebie

brata to dziewczę robi pielgrzymkę pokutną, wraca do wiary i jest obecnie gorliwą katoliczką. Śmierć ofiarna brata, była przyczyną życia łaski dla siostry!

Nie zapomnieliśmy o babkach i dziadkach pod kościołem żebrzących. Pytam jednej, drugiej: „byliście u spowiedzi?“ — „a byłam u Was przecie Ojcze misjonarzu“; pytam dziadka, tęgiego bez nóg, który siedział na drewnianej miednicy, a ręce miał oparte na dwóch kółkach i tak się posuwał: „a wyście byli?“ — „nie!“ — „to się przygotujcie, a za chwilę tu przyjdzie misjonarz, to się na boku wyspowiadacie“. Idę na probostwo, po kwadransie wracam, a dziadka już niema koło kościoła. Szukam go przed kościołem, w kościele. Niema. Idę między wozy, a tu dziadek siedzi i jajecznicę sobie warzy. „To tak dziadku do spowiedzi się gotujecie?“ — pytam. — „Ja do spowiedzi nie chodzę, bom ewangielik“. — „To czemu tu żebrzecie pod kościołem katolickim?“ — „Bo moja żona katoliczka, to muszę na nią zarobić od katolików“. Ma słuszność — pomyślałem — i zostawiłem go w spokoju.

Tak mijały szybko dni pracy w pocie czoła. Na zakończenie tej wspaniałej misji poświęcenie krzyża uroczyste z orkiestrą wojskową z KOP-u granicznego, poświęcenie parafji Sercu Pana Jezusa. Przy przeproszeniu za zniewagi wyrządzone Boskiej Miłości w Sakramencie ołtarza rozpłakały się głośno, rzewnie wszystkie serca, gdy dzieci zarzuciły monstrancję w rękach kapłana kwiatami, jako zrównoważenie tych kamieni, tych plwocin, tych bluźnierstw, któremi serca bezbożne, zwyrodniałe zalewają tabernakulum i Boga tam ukrytego od 19-tu wieków! Te łzy pokutne, skruszone serca i te kwiaty rzucane do stóp Chrystusa niewinnemi rączętami niech to będzie Sercu Bożemu wynagrodzeniem za zniewagi od bezbożnych! Niech i Was — Drogie czytelniczki — te rzewne chwile pobudzą do ofiarowania Boskiemu Sercu swoich serc cichych, cierpiących, skołatanych w tym „Roku Świętym!“

Ks. Sz. Jarosz, T. J.

Z dawniejszych lat.

Powieść. (Ciąg dalszy).

I pani doktorowa i Terenia zaczęły się niepokoić. Zwłaszcza dziewczyna, rozkołysana nadzieją, że może uda się wyciągnąć Jaśka ze szpitala i z wojska, siedziała, jak na węglach. Co chwilę oglądała się na drzwi. Widziała to zacna pani doktorowa, więc żeby dziewczyna się tak nie męczyła, wypytywała ją o to i owo, o tem, jak żyją w domu na wsi, jak to było z Jaśkiem, że go wzięli do wojska i t. d. Terenia odpowiadała szczerze i prosto, jak prostem i uczciwem było jej serce i życie. Znać było, że kocha cały świat Boży, słońce i kwiaty i zwierzątka i ptaki — a najwięcej matulę i Jaśka. Przyrzekali sobie, że się kiedyś pobiorą, aż przyszło nieszczęście, jego wzięli do wojska, a teraz on biedny kaleka ślepy — ale ona go za nic nie opuści, bo wie, że inaczej toby ją Pan Jezus skarał.

Tem prostem opowidaniem pani doktorowa rozrzewniła się tak, że w jej pięknych oczach, zabłysły jasne łzy.

Naraz otworzyły się drzwi, a w nich ukazał się pan doktor, a za nim prowadzony przez sierżanta z zawiniątkiem na plecach i kijem w ręku, Jasiek.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi. Serce zaczęło jej bić mocno, nie wiedziała, czy skoczyć ku biednemu kalece, czy rzucić się do nóg dobroczyńcom. Aż doktor wziął za rękę Jaśka i popychając go ku dziewczynie, powiedział: „tu jest twoja Terenia!"

Co się działo w sercach obojga młodych, trudno opisać. Jasiek ocierając jedną ręką łzy płynące mu z pod zielonego daszka po twarzy, drugą pokazując jakiś papier, zawołał: „Tereniu, Tereniu moja kochana, ja już mogę wrócić do domu, nie potrzebuję być żołnierzem — oto uwolnienie mnie z wojska!"

Na to Terenia rzuciła się do nóg pani doktorowej i zaczęła ją całować po rękach: „o niech ci Bóg zapłaci za twoje złote serce moja śliczna, najdroższa Pani!" — wołała łkając — potem na kolanach dziękując ucałował, choć się przed tem bronił, ręce zacnego doktora, wreszcie z wybuchem radości i uniesienia podskoczyła do czekającego na nią Jaśka. I żeby nie przeszkadzać dłużej państwu, pochwyciła biednego kalekę za rękę i dziękując i błogosławiąc dobroczyńców, wyszła z nim na podwórze koszarowe, przeszła przez bramę szpitalną na ulicę, by zacząć długi powrót do rodzinnej wsi.

Zdziwieni ludzie przystawali patrząc, jak młoda dziewczyna wiejska wiodła ociemniałego żołnierza pod rękę i jak wielka radość i współczucie dla kaleki odbijała się na jej twarzy.

Rzeczywiście z uczuciem dumy z tego, co się stało, że to ona uwolniła Jaśka z wojska dreptała teraz obok niego nie zważając na to, co sobie o niej ludzie pomyślą. Chciała jak najprędzej przejść przez miasto, jakby nie wierzyła szczęściu i jakby się bała, żeby jej kto jeszcze Jaśka nie zabrał.

Wkońcu znaleźli się na drodze polnej, wiodącej ich do ich wsi. Teraz z okrzykiem radości odetchnęła z całej piersi, wzniosła oczy do nieba dziękując Bogu za niespodziewaną pomoc, przeżegnała siebie i Jaśka i zawołała: „No chodź Jaśku — jesteśmy teraz wolni, a Pan Jezus dopomoże, to będzie wszystko dobrze!"

III.

Na polu było skwarno i duszno, bo to był suchy i gorący lipiec. Słońce zniżyło się już znacznie i cień od drzew już się wydłużał, ale żar palił jeszcze, aż tamowało dech w piersiach. Najmniejszy wietrzyk nie poruszał liści, ptactwo nawet pochowało się po gałęziach, jak daleko sięgnąć, nie widać było ni człowieka, ni zwierzęcia. Ziemia jakby znużona zdawała się od gorąca drzemać. Na skręcie drogi pod nikłym cieniem samotnego krzewu leżał żołnierz na podścielonym płaszczu i spał. Nogi bose wystawił na słońce, buty stały obok. Przy żołnierzu siedziała młoda dziewczyna z gałązką w ręku i odganiała nią natrętne muchy z twarzy i nóg śpiącego.

Musiało to trwać dość długo, bo dziewczyna z niepokojem na twarzy spoglądała na zachodzące zwolna słońce i zbliżającą się noc. A może i co innego ściskało trwogą jej serce? Oto spostrzegła, że cień z nad głowy śpiącego się usunął i słońce zaczyna mu w twarz świecić — a nie śmiała go budzić, żeby go znowu ulżyć w cieniu. Wstała więc cichutko, podeszła do krzaka, urwała kilka większych gałązek i powtykała do ziemi koło głowy leżącego i zarzuciła na nie swój fartuszek i tak go zasłoniła znowu. Zadowolona z pomysłu usiadła napowrót, kiedy leżący poruszył się, podniósł głowę i odezwał się zmęczonym głosem: „Tereniu, gdzie jesteś?" Dziewczyna pogłaskała go po głowie i odparła: „Tu, tu Jasiu, nie bój się, czemu się tak trzęsiesz?"

— O, bo mi się śniło, żeś gdzieś odeszła i mnie zostawiła — patrz, jaki straszny, okrutny sen! a cobym ja biedny począł?

— No, nie miało też ci się co przyśnić? A nawet to dobrze, bo jak się coś takiego śni, to zawsze robi się przeciwnie!

— Prawda, Tereniu, odparł chłopak. Ej, chyba Pan Jezus anioła mi w tobie zesłał! Jakaś ty dobra! Niech Ci Bóg Najświętszy za twoje serce i litość nademną zapłaci!

Tymczasem dziewczyna odwinęła z zawiniątka kawałek chleba, pokrajała na drobne kęse, dołożyła do każdego kawałek sera i zaczęła podawać biedakowi, żeby się pożywił.

— A przespałeś się dobrze? spocząłeś sobie? jakże ci teraz? — spytała przymilnie.

— O dobrze mi, dobrze, ale mi ciężko na sercu przez ten sen!

— E, to przejdzie — to z tego pewnie, że leżałeś na twardej ziemi — przecież ja ciebie Janiu, nie odejdę.

Kiedy chłopak zjadł wszystko, pomogła mu wciągnąć buty na nogi i sama wzięła teraz węzełek na plecy, jemu podała kij, żeby się nim podpierał i podała mu rękę, pociągając go za sobą.

Jasiek chciał koniecznie odebrać jej tobołek, bo to wstyd, jak się tłumaczył, żeby słaba dziewczyna, a nie on go niosła, ale Terenia nie ustąpiła, dodając, że jemu trudniej iść, bo nie widzi, więc się potyka, a to gorzej męczy.

— A pamiętaj, jeżeli za prędko pójdę, to mi powiedz, — a teraz z pomocą Boską pójdziemy dalej. Tylko mi się nie strachaj i nie bądź smutny. Pan Jezus nad nami, to nas nie opuści. I żeby mu odpędzić niedobre myśli z głowy, zaczęła rozpowiadać, co to będzie, jak się pokażą w domu... jak będą sobie pomagać i żyć po Bożemu. (Ciąg dalszy nastąpi).

Serce.

Z cyklu: „Ciche bohaterki”.

— Co też panna Helusia mówi? Naprawdę? Jezusie, toż mi się aż z uciechy ręce trzęsą i spódnicy związać nie mogę. A niechże też waszej pani Matka Boska nagrodzi za jej miłosierdzie nad starą.

Magdalena Oposowa zawiązywała fartuch na połatanej, ale czystej spódniczynie, a jej starcza, pełna zmarszczek twarz promieniała radością, gdy podsuwała młodej, ciemno ubranej dziewczynie wyszorowany pięknie zydelek.

— Niechże panna Helusia siada. Cud Boski nademną starą, już coraz gorzej nogi noszą, ot i dzisiaj zapuchnęła mi gęba, jak ten knedel, łazi po człowieku, łazi a i krzypie czemraz gorzej. Osiemdziesiąt roków nie szpas. No ale teraz, skoro mnie wasza pani w przytułku umieściła, to będę sobie wypoczywała, jak jaka hrabina. Więc gdzie to mam iść panno Helusiu?

— No do pana dyrektora, powie Oposowa, że moja pani ją przysłała, to i puszczą. Pani już z panem dyrektorem mówiła i obiecał, że Oposową przyjmie, bo wczoraj jedna babka w przytułku umarła, to i miejsce jest.

— Wiem, wiem... byłam się za nią pomodlić. Moja panno Helusiu sześćdziesiąt roków temu, to my razem na weselach wywijały, a teraz mnie ledwo nogi noszą, a ona już i w trumnie nieboraczka. Tak to czas leci i nigdy se tyż człowiek nie myślał, że na dziadowskim chlebie skończy. Tak, tak, dzisia różo, jutro krzak. Ani się człowiek spostrzeże, jak się życie zwyrtnie.

Wyszły razem, ale po chwili już młoda dziewczyna poszła prędzej, bo się jej do domu spieszyło, a Magdalena Oposowa wlokła się powoli, bo jej właśnie nogi gorzej dokuczały, jak to zwykle starym ludziom jesienią i na wiosnę. Z radością myślała, że nareszcie dostanie się do przytułku i będzie miała dach nad głową na stare lata i łyżkę strawy zapewnioną co dnia. Pomimo starości posługiwała jeszcze, ale coraz jej

już było ciężej schylać się przy sprzątaniu, konewki z wodą nosić, pan był poczciwości człowiek, inkszemu, to byłby zawadzał taki stary krzak w domu, a jemu nikt właśnie tak nie dogodził, jak ta starowina.

A gdy przez jakiś czas chorowała na różę w nodze, takie się to róże starym dostają, to ją odwiedzał w szpitalu i dobre rzeczy przynosił, byle jeno ozdrowiała i wróciła rychło, bo z młodemi ani rusz zgodzić się jakoś nie mógł. Wybuchliwy był, młode się zaraz obrażały a Magdalena zamilkła, gdy go złość ponosiła i za chwilę uśmiechała się do niego, jakgdyby nigdy nic. No, a teraz pójdzie już sobie na wypoczynek do rupieciarni, bo taki przytulek, to jak taka rupieciarnia ludzka, same stare, nikomu już nie potrzebne, wszystkim zawadzające graty, o których śmierć zapomniała. Westchnęła, bo się jej jakoś markotno zrobiło przy tem rozmyślaniu.

Dochodziła już do pięknego gmachu dyrekcji, więc z przyzwyczajenia przygładziła węzłowatą ręką włosy, wymykające się z pod chusteczki, żeby przecie znowu tak po dziadowsku nie wyglądać. W sieni ujrzała kilka starych kobiet, stały mierząc się zawistnemi oczyma, jak głodne psy nad kością, pomyślała Magdalena, a gdy znalazła się między niemi spojrzały na nią podejrzliwemi, bojaźliwemi oczami.

Jeszcze jedna... jakby ich nie dosyć było.

Jak kiedyś zemrę — myślała Oposowa — to tyż jeszcze nie ostygnę, a tak się tu będą tłoczyć po miejsce o mnie.

Strasznie wszystkie koślawe — stwierdziła z zadowoleniem, że ona jeszcze przecież jakoś do ludzi wygląda, a nie jak ten strach na wróble. A tu przepycha się do niej mała, siwa, nędzna, że Boże zmiłuj się, staruszka z przykrótką ręką.

— Oposowa tyż prosić o miejsce w przytułku?

— A no, na co to człowiekowi przyjdzie, wy tyż?

— Oj moiściewy... tyż. Wyście jeszcze prosta, zarabiacie, ale ja... o Jezu od miesięcy chlebem jeno użebranym i wodą u sąsiady zagrzaną żyję. Z czerniałam tyż jak ona ziemia święta, a jak zima przyjdzie, ginąć przyjdzie. Rany mi się po nogach pootwierały, ani na żebry iść nie będę mogła.

Magdalena Oposowa słuchała, a jej pełna twarz przybierała coraz bardziej zafrasowany wyraz.

— Moja Pawlicowa, każdemu tyż będzie w zimie ciężko...

— Ale mnie gorzej, jak wam, bo wy jeszcze posługę macie i to u takiego dobrego pana i ludzie was lubią, do pani na objady chodzicie, wam bida nie tak dogryzie, jak mnie. Jak się dzisiaj nie dostanę do przytułku, to chyba z głodu zdechnąć przyjdzie...

— E... co tyż...

— Myślicie, że nie? A któż taką nędzę, jak ja poratuje? Jezu! Jezu dyć patrzcie jakam sucha, duch się we mnie jeno kolebie i jeno patrzeć, jak zemrę i gdzie? Może na ulicy kany albo jako ten pies bezdomny na śmietniku.

Gorzkie, ciężkie łzy płynęły po policzkach kobieciny a Oposowa jakiś dziwny smętek czuła w duszy i litość taką wielką, że własna nędza wydala się jej nagle bogactwem niemal.

A tu nagle otworzyły się drzwi, w ciemń korytarza buchnęło zalewą słońca i zarysowała się wysoka, chuda postać woźnego. Załomotało serce w Magdalenie...

— Jest tu niejaka Magdalena Oposowa, wdowa? Idźcie do pana dyrektora, wy, reszta nie macie już tu co wystawać, miejsce już obsadzone. No czegóż Oposowa marudzi?

A Magdalena stała w miejscu, bo nagle do nóg jej runęła postać tej drugiej nędzarki, a widmowo chude ręce czepiły się jej rąk:

— Ustąpcie mi swojego miejsca... przez miłosierdzie Boże. Spotkały się ich oczy, wypłakane, zmęczone, pełne wzajemnego zrozumienia.

— No prędzej, pan dyrektor czeka.

Z trudem Magdalena Oposowa rozwierała usta, z trudem wyszedł z nich głos nabrzękły łzami:

— To już niech nas pan woźny obie wpuści do pana dyrektora, bo ona jeszcze odemnie biedniejsza, ja ta sobie może jeszcze poradzę jako.

Drgające usta Pawlicowej przywarły do jej rąk, ognała się, jak od muchy utrapionej.

— A dyć Pan Jezus przykazał wzajemnie się miłować.

W biurze pochyliła się dyrektorowi do ręki:

— Niech tyż wielmożny pan przebaczą, drugą przyprowadziłam za siebie, ale ona ma rękę kiepską i nogi chore, to ja jeszcze wobec niej młódka i bogaczka. Niech ta się wielmożny pan zlitują i wezmą ją do tego przytułku, a mnie to może... jak będzie miejsce za drugim razem...

* * *

Siedziała w kuchni nad talerzem zupy i mięła w garści chustkę, gdy pani weszła i uśmiechnęła się do niej:

— No cóż Oposowa dostaliście się do przytułku?

— E nie, proszę pani...

— Jakto nie? Przecież mi pan dyrektor obiecał, że was weźmie.

— I wziął proszę pani, a jakże, ale była tam jedna znajomka taka biedota, chora, sama... to i jakoś nie mogłam i prosiłam, by ją pan dyrektor przyjął na moje miejsce.

— Tak przecie pragnęliście się sami dostać do przytułku?

— O Jezu, pewno że pragnęłam, ale człowiek tyż przecie ma serce...

I dwie ciężkie łzy stoczyły się po bruzdach starej twarzy i wpadły do zupy, ale zaraz uśmiechnęła się swoim miłym, szczerym uśmiechem, który jej serca ludzkie jednał.

— Takie to już moje głupie szczęście, proszę pani.

Żywiec, 5. X. 1931. *Marja Czeska-Mączyńska.*

Czy bajka?

Leżała w polu wielka bryła kamienna. Leżała całe wieki. Otaczały ją kwietne łąki, zboża na łanach szumiały o złotym ziarnie pieśni, o ziarnie, które musi nakarmić świat cały.

Ale kamień nie rozumiał tego, co mu opowiadały promienie słońca, gwiazdy. Tak samo nie mógł zrozumieć głosu ziemi, ani poszumu drzew.

Bo kamień nie miał serca. Sam nie cierpiał i nie rozumiał, że są istoty, które z przeogromnego bólu „krzyczą w sercu swojem".

Tak było całe wieki...

Aż raz na tę polanę przyszedł Artysta — Las. Obejrzał uważnie bryłę kamienną i wezwał do siebie dwóch swoich pomocników.

Byli to dwaj siłacze. Jeden z nich miał imiona: Młot - Ból.

Drugi — Dłuto - Cierpienie.

Kiedy poczęli bić w bryłę kamienną, wykrzesali z niej iskrę. W martwej dotąd bryle zrodziło się serce.

Zadrżał głaz - olbrzym. Nie był przygotowany na ciosy. A Las ze swymi pomocnikami uderzał z całej siły, szarpał kamienne ciało.

Więc kamień jęczał ciężko. Chciał się bronić, uciekać. Na nic się nie zdało. Więc się znowu buntował, odgrażał. A innym razem błagał o litość, zmiłowanie.

Nie pomagało nic. Zdawało się, że przyszła jego ostatnia godzina. Więc dygotał w bólu, poniżeniu okropnem. On, niewzruszony dotąd, drżał cały w niepewności.

Odpadały z głazu to wielkie bryły, to maleńkie pyłki.

Bryle zdawało się, że trwa to bardzo długo, nieskończenie długo. Że Las Ból i Cierpienie zmiażdżą go zupełnie. Wszak za każdym ciosem odpadały z kamienia to wielkie bryły, to maleńkie pyłki.

Tak bez końca, bez końca...

Kamień omdlewał z bólu. Chyba tyle co on, nie cierpiał nikt w wszechświecie, chyba nie było nikogo tak strasznie, a niesłusznie prześladowanego.

* * *

Ogarniała go rozpacz...

* * *

Bolesna operacja skończyła się nareszcie. Przeniesiono kamień do wspaniałego parku, ustawiono nad wodą.

— Ach! jakiż piękny? — wołało wszystko dookoła.

Przejrzał się w wodzie kamień nieszczęśliwy.

Jakże się zadziwił... Z bryły bezkształtnej Ból i Cierpienie wyrzeźbiły przepiękne arcydzieło sztuki.

Czy i z niedoskonałego, grzesznego człowieka, nie rzeźbi często cierpienie Świętego?

Krwawe łzy.

Starła fartuchem łzy z oczu, wstała od stołu i chwiejnym krokiem pospieszyła do kołyski, gdzie przed chwilą dziecię zakwiliło cicho, jak ten ptak duszony w gnieździe.

Biedactwo półroczne leżało na słomie, suche, jak badyle polne, przeźroczyste, jak gąbka... Od wczoraj w ustach nie miało ni chleba okruszyny, ni kropli mleka.

Bieda i nędza wyciąga swe szpony z każdego kąta niskiej chałupiny, a przez okna zagląda, z kosą na ramieniu, ich siostra — śmierć.

Ostatki już wyszły. Zarobić nie było komu. Ojciec jeszcze zeszłego roku padł przy obronie Lwowa, rażony kulą hajdamacką. Matce mleko w piersiach wyschło — chodziła, jakby wróciła z tamtego świata.

Przed miesiącem pochowała Marylkę i Zochnę. Obie padły na tyfus głodowy. Został Wojtuś najmłodszy, ostatnia pociecha...

Pochyliła się matka nad kołyską dziecięcia, a ono wyprężyło ku niej skostniałą rączkę i skrzywiło usteczka, jakby zawołać chciało: „Mamo, daj chleba!“

A chleba w domu oddawna nie było.

Po wychudłej twarzy matczynej zbiegły łzy duże, bolesne, krwawe...

Przed kilkoma dniami sprzedała ostatnią poduszkę za garniec ziemniaków. Został tylko wiszący na ścianie Zbwiciel, rozpięty na krzyżu. Tego się nie wyzbędzie za żadną cenę. To pamiątka rodzinna.

Ucałowała płaczące dziecię w główkę, a główka gorzała jakby ogniem...

Nawet wody w domu nie było, bo źródło daleko, a sił rąk zdrowych ku pracy nie było.

Nagle dziecię rzuciło się w kołysce, wyprężyło i tak zostało... Małe, zapadnięte oczka zaszły bielmem śmierci.

Szary mrok wkradł się do chaty. Przez wybite szyby wdzierał się wicher, zawodząc z cicha żałobną pieśń pożegnalną...

A tam za górką wschodził księżyc blady, oświetlając stare cmentarzysko i świeże groby Marylki i Zochny.

Drżącemi rękami i prawie nieprzytomna postawiła płonącą świecę u główki ukochanego dziecięcia i spostrzegła w oczkach jego dwie łzy świecące, łzy gorzkie i krwawe...

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie... — a potem poszła, uklękła przed wizerunkiem Ukrzyżowanego i w wielkiej swej boleści zaczęła całować skrwawione nogi Jego.

A słodki Zbawiciel zniżył ramiona Swoje, położył na głowie nieszczęśliwej matki i uronił łzy szczere, serdeczne, krwawe łzy.

Zdanie dziennikarza japońskiego o katolikach.

Dziennik „Majniki“, wychodzący w Nangasaki, zamieścił niedawno artykuł poważny o katolicyźmie i różnych sektach chrześcijańskich i pogańskich w Japonji, w którym wyraża się bardzo pochlebnie o działalności tamtejszych katolików: „Tworzą oni“ — pisze autor — „najliczniejsza grupę wśród chrześcijan, mieszkających w Japonji. Posiadają wiarę niezachwianą i okazują wielkie przywiązanie do swej religji. Kapłani katoliccy spełniają swój urząd sposobem mniej teatralnym niż duchowni protestanccy, ale nie hałaśliwe nauczanie usuwa przecież uprzedzenia najbardziej zakorzenione. Z drugiej strony wspaniałość obrzędów katolickich podoba się bardzo Japończykom, a podczas gdy wśród protestantów widzimy ciągłe przechodzenie od jednej do drugiej sekty, katolicy pozostają stałe przy swojej wierze.

W czasach ostatnich przedsięwzięli niektóre poczynania dobroczynne: zajmują się np. bardzo emigrantami do Brazylji, którym ułatwiają podróż i dają wszystkie przydatne wskazówki. Zakonnice ich poświęcają się wielu dziełom miłosiernym; i tak: otworzyli w Kumamoto i innych miejscowościach przytułki dla trędowatych, które zasługują szczególnie na pochwałę. Są w Japonji liczni misjonarze, którzy przebywają tu od 50 lat, jak Ojciec Villon de Mara, który przyjechał do nas przed sześćdziesięciu laty. Ilekroć wyda jaką odezwę na korzyść swoich dzieł, wszyscy spieszą ze swemi datkami“.

Miło to czytać takie sady i wyrazy uznania dla naszych pełnych poświęcenia misjonarzy i zakonnic!...

Rady i przestrogi.

Człowiek wstydzący się swej wiary, wstydzi się swej ludzkiej natury, bo tylko zwierzę jest bezreligijne.

Daru mowy musimy koniecznie używać i ku uczczeniu Boga.

Kto Mszę świętą opuszcza, sobie samemu największą szkodę i krzywdę wyrządza.

Obowiązek miłowania własnej Ojczyzny wypływa z miłości rodziców.

Życie, zdrowie, cierpliwość i wesele potęgują: praca, umiarkowanie i dobre sumienie.

Nic tak nie plami serca, jak brudna lektura i plugawe mowy.

Poszanowanie cudzej własności i wspólnego dobra należy uważać za pierwszą i najważniejszą cnotę obywatelską.

Prawdomówność i szacunek dla sławy bliźniego są niezbędne czynniki przyjaźni i towarzyskiego pożycia.

Gniazdo rodzinne jest źródłem szczęścia i podstawą kultury narodowej.

Ograniczenie potrzeb, a nie wielka ilość pragnień, uszczęśliwiają człowieka.

Te... z dawnych lat.

Te z dawnych lat... to maleńkie cnoty.

Pomoc wzajemna czyli usłużność, oto najmilsza z „małych cnót“, gdyż streszcza przedziwne przykazanie Pana Jezusa: „Będziesz miłował bliźniego swego, jak siebie samego“.

Kochać bliźniego, to życzyć mu tego, czego sami sobie życzymy i oszczędzać mu tych przykrości, których byśmy pragnęli, by nam zaoszczędzono.

Usłużność jest delikatną odmianą miłości. Nie uraża ona nigdy, gdyż wyklucza wszelkie pojęcie protekcjonalnej pobłażliwości i staje się maleńką z małymi, pokorną z pokornymi. Nie gardzi ona serdecznem uściśnięciem ręki, dodającej otuchy, ni dobrem słowem zachęty. Własnym kosztem, prostotą pełną życzliwości i z nieustannym uśmiechem na ustach wykonuje za innych najżmudniejszą pracę.

Być usłużnym dla drugich — wymaga to dużo cierpliwości i dobrego humoru.

— — — — — — — — — — — — — —

A któż lepiej znał się na sztuce, jak mała św. Terenia, która podczas krótkiego swego życia z tak wielką cierpliwością i radosnym humorem cnotę tę w czyn wprowadzała! Ileż odwagi i słodyczy okazała ona, naprzykład w stosunku do chorej siostry od św. Piotra, otaczając ją swą opieką, a odbierając w zamian niejedną cierpką uwagę. Jakże dobrą musiała ona być tą siostrzyczka, skoro sama pisze. „że zawsze starać się będzie łzy bliźniego zamieniać w uśmiechy“.

Do niej zatem zwróćmy się z prośbą, by nas nauczyła tej milej cnoty usłużności, tej cnoty, która zdobędzie największe nagrody, ponieważ Pan Jezus uważa za wyświadczoną Sobie przysługę, oddaną jednemu z Jego „najmniejszych“.

Ch. Delcey.

Podsłuchane.

No, — niechże się ucieszy Małgośka, że się jej udało choć jedno — bo ona nieposiada się z radości, jeśli kogoś potrafi przyciągnąć do swoich zapatrywań (z gruntu dobrych. Red.). Pisała niedawno i zachęcała, żeby nasze członkinie chwyciły także za pióro, i choć kiedy niekiedy napisały do „Głosu dziewcząt“. zachęcona jej wezwaniem popróbuję coś napisać. Niech się cieszy, że się jej cośkolwiek udało. Tylko się jej nie udaje jedno i to najważniejsze, że nie może swojemi zachętami pomnożyć liczby odbiorczyń i prenumeratorek Głosu. — Komuś się przyznała, że już cały litr atramentu wypisała. wykazując opieszałość naszych dziewuszek, a one jak się uparły tak w uporze trwają. Pisz ty swoje a my i tak Głosu nie kupimy. Coś tak jak to było u jednego dentysty — przyszedł do niego pacjent z chorym zębem do wyrwania — dentysta pyta go: który ząb pana boli? a on na to: jeżeli pan biegły w swoim fachu, toś powinien wiedzieć, który ząb jest bolący, i co powiecie (mówi dalej pacjent). Dentysta wyrwał mi wszystkie zęby, a ja mu i tak nie

powiedział, który mię ząb bolał. Uparł się! — Tak i nasze dziewuchy jakby mówiły: Pisz ty sobie Małgosiu i gniewaj się nawet, a my i tak Głosu nie będziemy pobierać. Czy takie na złość jest chwalebne, na to nie potrzeba wielkiej mądrości, żeby na nie odpowiedzieć. A teraz przystępuję do tego o czem zamyślilam napisać: — Los tułaczy zagnał mię do obowiązku w pewnym Hotelu. Mając zatrudnienie w restauracji hotelowej, widzi się najrozmaitsze okazy ludzi obcych i miejscowych, czasem też jakby od niechcenia, słyszy się najróżniejsze rozmówki. Miedzy licznemi gośćmi uczęszczającemi do naszej restauracji bywają prawie że stale dwie jak się widzi wielkie przyjaciółki. bo przy każdem zejściu się. powitaniom i całowaniom niema końca. Nacałowawszy się do syta, zajmują stolik zamówiwszy herbatkę, dalejże w ruch języczki. A mają dość cięte nad podziw. Obdarzone też są głosem donośnym mówią tak, że nietylko ja, ale i wszyscy goście dokładnie mogą je słyszeć. Co pewien czas tematem ich rozmów są służące, wtedy ja ciekawiej słucham jakby mimo woli tych rozmów. Jedna z nich — pani Musia — ma co miesiąc nową służącą — wynika to z następujących sprawozdań o służących, zmienianych co miesiąc. Posłuchajcie, bo to ciekawe. — 1-go maja wpada pani Musia na swe codzienne posiedzenie w restauracji i zastaje już przyjaciółkę. — Po zwykłem przywitaniu się zaczyna: No oddycham! — Nareszcie znalazłam to, czego szukałam oddawna. Ideał służącej. Powiadam pani, coś nadzwyczajnego! Uczciwa, cicha, spokojna, pracowita. schludna, czysta, pierze, prasuje, gotuje, sprząta, froteruje, szoruje; ceruje; łata... Jednem słowem perła, istna perła! —

15-go maja. — No ładniem się ubrałam! Tożto bolszewiczka! Komunistka! Powiada, ośmiogodzinny dzień pracy! Słyszała pani coś podobnego? Popoludniu drzymka, wieczór o 9 do łóżka! Coś skandalicznego! Naturalnie z miejsca wylałam! Pani złota. jak to człowiek może się łatwo wplątać w jakąś aferę polityczną!

1-go czerwca. — No, takiej jak mam teraz, to nie miałam i mieć nie bedę! Wstaje o piątej, idzie spać o dwunastej, haruje jak koń. od świtu do nocy. Mówię pani, perła, pierwszej klasy perła!

15-go czerwca. — Naturalnie, że wylałam! Cóżto ja mam telefon dla jakiejś tam pierwszej lepszej dziwy?! Mówię pani, nic, tylko telefony i telefony od rana do nocy! Jak się to raz, takie coś dorwie, to skaranie Boskie. Ach i radjo! Ja miałam jej założyć głośnik do kuchni! I to koniecznie Philipsa! — Ale mam już nowa! Skromne dziewczę ze wsi, chętne, obrotne... Takiej to ani w głowie jakieś telefony czy radja. — W dzisiejszych czasach taka służąca to istna perła!

1-go lipca. — Ach moja pani, za jakie też grzechy mnie Pan Bóg pokarał takim wiejskim tłumokiem! Co za niezdara, niema pani pojęcia! Co za osioł, tuman! Narobiła mi szkód na jakie pięćset złotych! A żarła z przeproszeniem za dziesięciu chłopów. Za miesiąc zjadłaby nas z butami! Naturalnie. że wylałam! Ale mam już na jej miejsce inną. Strasznie biedne i dobre stworzenie. Ma dwoje dzieci na garnuszku na wsi. Taka to uszanuje cudze dobro, matka dzieciom. wie co bieda i nędza. To naprawdę perła czystej wody!

15-go lipca. — Ależ naturalnie, że wylałam! O, ja to odrazu zmiarkowałam, że to nic dobrego! Najlepszy dowód, co za ananas, to te dwa bachory! Widać za mało jej jeszcze tego! Mówię pani. co kupię pudru, już niema. Krem. woda kolońska, to samo. A moja panna Magdzia wybielona, że się aż sypie mąka z jej gęby. Co dzień inny brat czy też kuzyn w kuchni.

1-go sierpnia. — Ho, ho niema głupich! Teraz wzięłam sobie starszą, poważną Zytkę. Nic jej nie obchodzi poza pracą i kościołem. W domu ład, jak nigdy, spokój. cisza... Doprawdy, niema słów! Perła! Istna perła!

15-go sierpnia. — No takiego bezczelnego okazu tom w życiu nie miała! Niech pani sobie wyobrazi, powiada. że będę gorzeć w piekle na dnie zato. że noszę jedwabną bieliznę! Żegna się, gdy się pudruję! O! najgorsze to te stare jędze! Naturalnie, że z miejsca wylałam! Poprostu kamień spadł mi z serca. Oddycham! — Ale teraz mam, powiadam pani. istną perłę. Coś nadzwyczajnego! Uczciwa, cicha, spokojna. pierze, prasuje, szoruje, gotuje itd. (jak 1 maja).

— Ile tam jeszcze pereł miała p. Musia już się dowiedzieć nie mogłam, bom się przeniosła z restauracji do kuchni. M. J., Zytka.

Małgośka z Pl. Gta.

Wróciłam z wakacyj — miałam ciekawostki już gotowe — które zasłyszałam na letnisku, ale je podam kiedy indziej, bo mi w drogę wlazło co innego. Otóż do rzeczy. Przy pierwszem spotkaniu się z moją może najlepszą przyjaciółką słyszę: — Jak to dobrze się stało, żeś po napisaniu twojej gawędy do ostatniego numeru wyjechała z Krakowa — inaczej byłabym się może całej dziś nie zobaczyła. — Oj - jej — cóż się znowu stało? i komu się tak strasznie naraziłam? — Ano — zadrasnęłaś mocno staruszki dźwigające na procesjach feretrony — poszły ze skargą aż do najwyższej instancji, bo do samej Pani Prezesowej, na twoją, jak się wyraziły, niewyparzoną gębę. Zagroziły, że „Głosu“ już do ręki nie wezmą — stracimy z jaki tuzin czytelniczek! — Ha, nie wezmą, to nie wezmą — to się też nie dowiedzą jeśli jeszcze coś im napiszę — a napisze. — Jam się tylko nad niemi litowała i dobrą radę podsuwałam, a najprawdziwszą prawdę napisałam — bo powiedzcie moje przyjaciółki, czy te blisko sześćdziesięcioletnie (a znam jedną, która ma 67 lat) mają jeszcze siłę dźwigać ogromne feretrony — czyście nie zauważyły, jak to nawet młodsze dobrze się uginają, a po każdej procesji dłuższy czas spiekotę w ramionach czują i bąble rachują. — Jeśli młode czują, to starsze chyba długo cierpią. Zresztą i to mi przyznać musicie, że panienki, które niosą feretrony i sztandary, wystawione są najpierwsze na oczy całej publiczności, więc powinne być dziewuchy na schwał i wystawą piękności, a nie nadające się do bractwa dobrej śmierci. — I ja też kiedyś nosiłam feretron, ale jak mi minęło 25 lat, to przyznam się, żem się już oglądała, czyby kogoś nie zwerbować na swoje miejsce, bo mi się zdawało żem już za stara — znalazłam i oddałam drążek młodszej. A cóżbym zrobiła będąc dziś dobrze poza czterdziestką. Niechże się nie obrażają, bo jak wyżej wspomniałam, jam się tylko litowała nad niemi, że takie ciężary dźwigają z umęczeniem wielkiem. Wszystkie obrażone bardzo przepraszam i postanawiam, że zawsze tylko prawdę (jako i dziś) pisać będę. Ale wiecie co mi w oko wpadło? Zauważyłam, że kochane nasze Zytanki coś zaczynają naszą św. Barbarę bojkotować — nie wierzyłabym, gdybym się nie przekonała naocznie. — Oto na procesji Bożego Ciała w kościele św. Barbary ze świecami nikt się nie pokazał — a ostatnio na procesji w Uroczystość św. Ignacego także ciemno było. Czy to sprawiedliwe, przecież to nasz pierwszy kościółek, przy którym początek wzięło nasze Stowarzyszenie, pamiętam kiedy to z moją nieboszczką mamusią bywałam na nabożeństwach u św. Barbary, to o mało że kości nie trzeszczały taki tłok był dziewcząt, a na procesjach to początek z końcem się łączył tych, które wystąpiły ze świecami. Czasy się zmieniają, ale na gorsze. Może się znowu kto obrazi, więc nic więcej nie piszę tylko pod rozumną rozwagę podaję com napisała.

Wasza *Małgośka.*

Wydawca: Stow. Sług katol. św. Zyty. — Odpow. redaktorka: **Aniela Kaczmarczyk** Kraków, Mikołajska 30. — Kieruje redakcją **Ks. Wł. Kotowicz T. J.** Mały Rynek 8.

Czcionkami Drukarni „Głosu Narodu“ w Krakowie, pod zarządem Romana Ferka.

250 lat jak Europa zaczęła pić kawę.

Aż do czasu rozbicia armji tureckiej pod Wiedniem przez króla Jana III Sobieskiego w pamiętnym dniu 12-go września 1683 roku, nieznano w Wiedniu, ani gdzieindziej kawiarń — zato było pełno winiarń, gdzie raczono się jedynie winem, które podawano w dużych dzbanach i którego też wypijano w ilościach, o jakich w czasach dzisiejszych nik nawet marzyć nie może.

Po rozpędzeniu nawały tureckiej, znaleziono w obozach tureckich prócz wielkich bogactw w namiotach Kary Mustafy ogromne zapasy kawy, o której przyrządzeniu Wiedeńczycy, a wraz z niemi i cała Europa nie miała najmniejszego pojęcia.

Wiedeńczycy spoglądali ze zdziwieniem na te pachnące ziarna, rzucając je lekkomyślnie świniom na karmę, aby pozbyć się prędzej tych niesamowitych i zagadkowych zapasów.

Od niechybnej zagłady uratował kawę w roku 1683 Polak, Jerzy Franciszek Kulczycki, rodem ze Sambora w Małopolsce. W nagrodę za bohaterskie zasługi przy odsieczy wiedeńskiej, otrzymał on jedną z kamienic w Wiedniu, tudzież na własną jego prośbę koncesję na założenie pierwszej kawiarni i zapasy pogardzonej kawy.

Wiedeńczycy byli zadowoleni, że tak niewielkim kosztem udało się im obdarować bohatera, który jednakże z tego był bardzo zadowolony, otrzymawszy tak dogodną sposobność pokazania swej sztuki, nabytej podczas długoletniego pobytu w Turcji.

Na pierwszą kawiarnię w Wiedniu, Kulczycki wynajął wygodny lokal w dzielnicy Favoriten i urządził w nim kawiarnię, rzecz prosta, bardzo jeszcze prymitywną i niezbliżoną nawet w tysiącznej części do wyglądu kawiarń dzisiejszych. W ciemnym tym i wąskim lokalu stał za stołem zastawionym różnego rodzaju naczyniami tureckiemi sam właściciel p. Kulczycki w przebraniu tureckiem od którego odbijał dziwnie duży, staropolski wąs, nalewając gościom z mosiężnej wazy czarny, dymiący płyn, zapełniający powietrze silnym zapachem. Goście siedzieli przy ustawionych naokoło ścian stołach na zwykłych, dębowych ławach, spijając kawę, prawdziwie turecką, „czarną“ jednakże — niesłodzoną.

Kiedy atoli niektórzy z gości zaczęli się uskarżać na przykrą gorycz owego napoju, Kulczycki postanowił po dłuższem zastanowieniu się dolewać do kawy... soku malinowego. Spotkało się to odrazu z pełnem zadowoleniem Wiedeńczyków, lubujących się zresztą do dziś dnia we wszelkiego rodzaju słodyczach.

Kawa podniecała i ożywiała. Była w niej jakaś tajemnicza siła, stawiająca odrazu na nogi, zwłaszcza po wypiciu ponad miarę wina.

Wieść o pierwszej kawiarni otwartej przez Polaka, rozchodzić się zaczęła z błyskawiczną szybkością po Wiedniu, gdzie niebawem powstała specjalna kasta smakoszy kawy, składająca się ze wszystkich warstw ludności. — Liczba gości Kulczyckiego zwiększała się niebywale. Wąski lokal przy Favoritenstrasse niemógł już pomieścić wszystkich lubowników kawy „pocieszycielki“, którzy z całego Wiednia, a nawet i okolic schodzili się do Kulczyckiego, jak do Mekki, aby napić się „mokki“.

Szli do niego ci, którym smutek rozpierał serce, i ci, którzy słabli w swej energji, szukając w tym zbawczym napoju nowych bodźców, lub wreszcie i tacy, których gardła, wysuszone nadmiarem alkoholu, domagały się tej nowej tureckiej.... omasty.

Kulczycki, jako zdolny i solidny przedsiębiorca, nie ustawał jednak w swych usiłowaniach, zmierzających do ulepszenia złotodajnego interesu, robiąc z kawą rozmaite próby i doświadczenia. — Pewnego pięknego poranku wpadła mu myśl dolać do filiżanki „czarnej“, dwie łyżeczki mleka. I oto aromatyczny ten płyn

nabrał odrazu koloru najczystszego złota. będąc także i w smaku niepowszedni i szlachetny. — Owego poranku zrodził się pierwszy sposób, taki, w jaki pije się dzisiaj kawę na całym świecie...

Sława Kulczyckiego rosła... Zwolna zaczęły powstawać w Wiedniu kawiarnie jedna za drugą, z wygodnemi fotelami i lożami, gromadząc w swych dużych lokalach i jasno oświetlonych salach mieszkańców naddunajskiej stolicy. — Kawiarnie stały się dla Wiedeńczyków drugiem ogniskiem domowem i takiem też pozostały do dnia dzisiejszego, udzielając gościny wszystkim warstwom ludności. — Obecnie, każdy prawie zawód posiada własną kawiarnię. Są tu kawiarnie dziennikarskie, malarskie, filmowe, literacko - muzyczne, giełdowe, sportowe, kupieckie, a nawet... bandyckie.

Niezliczona ilość dzienników i czasopism, krajowych i zagranicznych stoi do dyspozycji gości, spędzających po kilka godzin na czytaniu i pogawędce przy napoju, który przyswoił Wiedniowi i całej Europie zdolny i przedsiębiorczy Polak Kulczycki.

Wszyscy kawiarze wiedeńscy upatrują w Kulczyckim swego patrona, zachowując w prawdziwej wdzięczności jego pamięć. — Niechże i społeczeństwo polskie niepozostaje w tyle i niechaj uczci zasługi człowieka, który przyczynił się niemało do rozgłosu imienia polskiego!

WESOŁY KĄCIK.

PRZEKONANIE: — Z jakiego powodu siedzi pan tu w kryminale?
— Z powodu moich przekonań.
— Jakich przekonań?
— A byłem przekonany, proszę pana, że policjanta niema w pobliżu.

* * *

NAJSZCZĘŚLIWSZY DZIEŃ W ŻYCIU: — Powiedz mi szczerze, który dzień w swojem życiu uważasz za najszczęśliwszy?
— Dzień, w którym mnie skazano na trzy lata więzienia.
— Co ty wygadujesz? Dlaczego?
— Ponieważ spodziewałem się, że dostanę conajmniej pięć lat.

* * *

ODPOWIEDŹ ZOSI: — Mamusiu, teraz już wiem, dlaczego kurczątka wylęgają się z jajek.
— No, dlaczego?
— Ze strachu, żeby ich nie ugotowano.

* * *

SPRYTNY BAWARCZYK: — Dlaczego pan pije tyle piwa? pyta cudzoziemiec Bawarczyka.
— Bo po tych przeklętych preclach mam straszne pragnienie.
— To poco pan je precle?
— Abym miał apetyt na piwo.

* * *

JEJ NIESPODZIANKA: — Doprawdy, będziesz mile zdziwiony, mój mężusiu, gdy zobaczysz, co ja zamówiłam na twoje imieniny. — Właśnie przyniesiono.
— No — no, jestem bardzo ciekawy...
— Zaczekaj chwileczkę — zaraz ją włożę (nową suknię).

* * *

OD RĘKI: — A cóż wam tak gęba zapuchła! Czy może od zęba?
— Nie... od ręki (dostał ręką w gębę).